

NA SCENIE

Takiego „Wesela”
jak to, które
w Katowicach
przygotował
Radosław Rychcik,
jeszcze nie
widzieliście.
Tyle że wcale
nie jest to
komplement.
Przynajmniej nie
w pełni



KRZYSZTOF LISIAK/TEATR ŚLĄSKI W KATOWICACH

Niewolnik własnego sukcesu?

Jacek Wakar, Polskie Radio

Przyznaję: lubię teatr Radosława Rychcika. Za jego efektowność, spektakularność, ostry rysunek bohaterów i za to jeszcze, że nie udaje czegoś więcej niż to, czym jest. Bezczelną niekiedy grą konwencjami, myleniem popkulturowych tropów, wodzeniem widzów za nosy i zwodzeniem ich na manowce. Nie wszystkie jego przedstawienia tak samo przypadają mi do gustu. Najpierw świetny debiutancki „Versus. W gęstwinie miast” Brechta, ale chwilę później do bólu manieryczne „Fragmenty dyskursu miłosnego” według Barthes’a. Dziwaczny, chłopięco niedojrzały „Hamlet” Szekspira, a potem ostrych jak nóż „Dwunastu gniewnych ludzi” na motywach scenariusza słynnego filmu Lumeta. „Samotność pól bawełnianych” Koltesa zamieniona w przejmujący rockowy koncert oraz niezborna i nieznośna „Pani Bovary”,

która z powieścią Flauberta nie miała poza bohaterką niczego wspólnego. Jeszcze pretensjonalny „Diabeł” osnuty wokół „Twin Peaks” Lyncha oraz nużące i przegadane „Niebezpieczne związki” inspirowane książką de Laclos. I nie tak dawno świetny, rozedrgany „Utalentowany pan Ripley” inspirowany kryminałem Highsmith. Dużo przedstawień, różnorodne fascynacje. Czasem trafione w punkt, innym razem boleśnie chybione. Niemniej wydaje mi się Rychcik twórcą nieprzewidywalnym, stąd z zainteresowaniem przyjmuję jego kolejne projekty. Bo nigdy nie wiem, co mnie czeka. Sympatyczne uczucie.

Piszę, że nie wiem, tymczasem trochę jednak niestety wiem. Największym, niemal przez nikogo niekwestionowanym sukcesem artysty były poznańskie „Dziady”, zanurzone w amerykańską tradycję oraz ikonografię, obudowane popkulturowymi mitami. Bezczelne, rozwichrzone i konsekwentne, a przy tym z zadziwiającym jak

na tę stylistykę szacunkiem traktujące arcydzieło Mickiewicza. Po „Dziadach” Rychcik trafił do ekstraklasy polskiego teatru, jednocześnie udowadniając, że nasza klasyka nie musi mówić jedynie narodowym kodem.

To, co udało się w „Dziadach”, powtórzył reżyser przy rzeszowskiej „Balladynie”, gdzie bohaterka dramatu Słowackiego była niczym Marianna wiodąca lud na barykady z obrazu Delacroix. Nie znam tarnowskiej „Grażyny”, ale opowiadano mi, że tym razem umieścił Rychcik akcję utworu Mickiewicza na koszykarskim boisku, a zatem znów powtórka z rozrywki. Zapowiedź realizacji „Wesela” zabrzmiała jednak obiecująco, bo arcydramat Stanisława Wyspiańskiego ma rytm i energię dla Rychcika wręcz wymarzoną. Poza tym zawsze jest miarą wskazującą artystyczną dojrzałość. Dla reżysera, ale i dla zespołu aktorskiego. Jeśli teatr ma kim zagrać „Wesele”, może wprowadzić do repertuaru każdy tytuł. Dlatego ta inscenizacja dla Teatru Śląskiego musiała mieć

szczególne znaczenie. Katowicka scena po „Piątej stronie świata” przygotowanej przez swego dyrektora Roberta Talarczyka i „Morfinie” w ujęciu Eweliny Marciniak znajduje się na fali wznoszącej. Gra dużo, starannie dobiera program. „Wesele” mogło być dla Śląskiego czymś na kształt konsekracji, ostatecznym potwierdzeniem akcesu do krajowej czołówki.

Zwycięsko wyszli z niego aktorzy. Pokazali, że są rozumiejącym się, pracującym na siebie nawzajem ansamblem, mają w sobie witalność, siłę i ofiarność w działaniu na rzecz widowiska. „Wesele” stoi na sekwencjach zbiorowych, a i tak zapamiętałem Artura Świąta w roli Dziennikarza, Rachel Barbary Lubos, Marynę Agnieszki Radzikowskiej, Nosa Grzegorza Przybyła. Inni rozmazali się nieco w wielobarwnym tłumie, ale wrażenie siły katowickiego zespołu pozostało. Z jego powodu spektakl Rychcika broni się na poziomie wykonania. Gorzej z tym, jakie zadanie postawił twórca przed gotowymi na ogromny wysiłek aktorami.

Uznał najwyraźniej, że nie było go jeszcze w Irlandii Północnej. Weselisko odbywa się więc nie w chacie w Bronowicach, ale w pubie w Belfaście. Mamy lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, konflikt między protestantami i katolikami zmierza do krwawej kulminacji. Na jego bazie rodzi się terroryzm. Takie tło otrzymała sztuka Wyspiańskiego, ale reżyser nie zauważył, że akurat „Wesele” trudniej przenieść w egzotyczne realia niż którykolwiek z dotychczas wystawianych przez siebie tekstów. Gdy natrafił na rafy, postanowił omijać je za pomocą nożyczek. Ich ofiarą padły całe połacie oryginału, pełne sceny, poszczególne postaci. Rychcik wycinał bezceremonialnie wszystko, co nie pasowało do realiów Ulsteru. Pal licha, że poległy rymy i struktura wiersza, że zastąpił „króla Piasta” „królem Arturem”, Poeta stał się Seamusem Heaneyem, a Upiór Williamem Moore’em. To tylko śmieszne, choć i niezbyt mądre. Gorzej, że irlandzkie rysy dają postaciom wyłącznie pistolety i żłobanie piwa z beczki. Nie widać, czym różni się rodzina Panny Młodej i Pana Młodego, bo one zastąpiły podział na chłopów i szlachtę. Wziął Rychcik sztafaż Belfastu, ale zatrzymał się na jego powierzchni. No i nie zauważył, że „Wesele” to nie „Dziady”, nie poddaje się sztucznej adaptacji.

Wierzę jednak, że katowicka porażka da mu do myślenia i przy kolejnej pracy nie wejdzie znowu do tej samej rzeki. Patent się zużył, Rychcik ma jeszcze szansę, by uciec przed zaszufladkowaniem jako niewolnik własnego sukcesu. ©©

„Wesele” Stanisława Wyspiańskiego |
reżyseria: Radosław Rychcik | Teatr Śląski
w Katowicach

